

SEN O ZAMKU

— WSZYSTKO TO PRZEZ TO, ŻE PEWNE SPRAWY SĄ NIEDOGRANE — TŁUMACZY CIĘŚLA WOJSICKI. — SKRZYDŁO PÓŁNOCNE MIAŁO BYĆ SKOŃCZONE NA PAŹDZIERNIK, A TU DOPIERO W POČĄTKU LUTEGO PUŚCILI OGRZEWANIE. FIRMA Z ELKU TAK ROBIŁA — ROBOTNIKI POSIEDZIELI TROCHE, ZACZĘLI, NIE POKOŃCZYLI, A TERAZ ZNIKLI. I DLATEGO TO WSZYSTKO TAK SIĘ CIĄGNIE.

Żeby grało, to wreszcie można by było robotę skończyć, a tak to jeszcze pewnie i następna zima będzie stracona, bo półdźwigni na inny zabitek. A tu wszystko znowu będzie stało. Może przez lato trochę podgonią, kto ich wie. Czesław Wojsicki ma w swojej ekipie trzech stolarzy. Nie powie, wszyscy solidnie pracują, a że czasem który wypije parę butelek piwa, to i o co takiego? Weźmy na ten przykład Choćby i dziś:

PIĄTEK, WIADOMO KONIEC TYGODNIA

Żab na dworze, jakby to nie wiosna była a środek zimy. Zawsze taka, że ledwie na nogach można stać, to i co niektórzy chcieli się rozgrzać. Widać nie było ciepła, bo zaraz nyska milicjanta się zjawia, jak na zawołanie. I inspektor nadzoru też przyjechał. Dwóch nakrył. Jak Wojsicki zobaczył balonik, sam chciał pierwszy dmuchać, może by wtedy innym uszło na sucho. Szedł na pewniaka, a nie kropli nie wypyl. Ale gdzie tam, wyszedł, że mundurowi spojrzeli po twarzach. Wojsickiego na stronę a do tamtych z balonikiem. Po premii chłopakom poleci, szkoda. Teraz siedzą i protokół spisują.

Półki co Wojsicki może pokazać ile zrobiono. To nie, że dzisiaj nie ma kierownika budowy, wyskoczył po materiały. Proszę bardzo do zamku. Jest co oglądać.

— Mówią panie, że nie widzą roboty, bo pusto? To tylko tak chwilowo. Żeby wszystko na czas było dostarczone, to robota poszłaby w mig. Ale jak ciagle to tego nie ma, to tamtego więc człowiek musi stać. O, patrz panie, grzejniki nie podłączono, to jak my swoje mamy robić?

On już pięć lat tu pracuje. Wszystkich ludzi jest czterech. Wystarczy. Z tego czterech stolarzy, a są jeszcze tynkarze.

— Patrząc panie, jaka polska robota była dobra — pokazuje Wojsicki zbliżając się do ściany. — To widać po tym murze. Tam, gdzie niemiecka robota, to palcem w ścianie można dukać, taka miękka. Ciemniejszy ten mur, bardziej czerwony i taki jaskrawy. A polski mur, to weź choćby i siekierą rąb, inaczej nie ruszy się. Niemcy, znaczy się Krzyżaki, spalili część zamku i potem Polacy odbudowywali. A że cementu wtedy nie brakowało — dobre były czasy pod tym względem — to wiecie taki wiadro wody, zaprawa wyjdzie za rzadka, no to buch jeszcze worek cementu. Nikt się wtedy z tym nie liczył. I dlatego tak mocno trzyma. A Niemcy to na glinie stawiali. No to i kruszy się teraz łatwo. Pół godziny popracuje się młotem i można ciągnąć przewód.

O, tu widać brygada dzisiaj robiła. Murują i opróżniają, znaczy się gruz wynoszą.

Z zakamarków wychodzi kilku młodych ludzi w drelichach. Stają w pewnej odległości z szuflami wbiłymi w gruz i przyglądają się pytająco. A Wojsicki objaśnia: To chłopaki z brygady Mirosława Barana.

— Tynki chłapiemy — rzuca stojący najbliżej. Na

to pojdzie jeszcze glazura, a potem posadzka

DO GÓRY LEPIEJ NIE IŚĆ

— odzywa się wesoło zza rusztowania jeden z robotników — Bo jak się zawałi, to będzie na nas.

— Nie słucha pani — wpada w słowo inny — to wszystko solidna robota.

Kiedy będzie gotowe? No przecież my pracujemy. Jak nam na czas nie dostarczą materiałów, to co mamy robić, fajerant.

Po drewnianej kładce, która zastępuje schody, wspina się inspektor nadzoru w asyście robotnika.

— Pojechali? — upewniają się koledy. — Pojechali — macha ręką uspokajająco robotnik „po zabiegach”.

— Pokażę teraz, ile mroz nam przeszkodził — mówi Wojsicki, nadal nie wychodząc z roli gospodarza.

— Niech panienka uważa, bo nóżka w dziurę wieści — rzuca rozmawiają „asyści”.

— Pamięta pani — zwraca się do majstra inspektora nadzoru, inż. Włodzimierza Nader — do wieczora ma być to zabezpieczone.

— Ciała zimę szło zalewanie posadzki — ciągnie Wojsicki — Tak straszny mroz, że wszystkie zaprawa mgiem w lod się ścinała. Gdzie było można ustawialiśmy po kątach kokosowniki, żeby tak nie wiało, ale w niektórych miejscach i tak posadzka wyszła. Trzeba było od nowa zaczynać.

Z majstrem Wojsickim zagłębiamy do małych pomieszczeń, które po zakończeniu remontu zajmie miejska biblioteka. — Tu już skończono, posadzka zalana. Na razie leży płyta, żeby się wyrównało. Potem na wierzch pójdzie parkiet, a to już marudniejsza robota, trzeba kłaść starannie, żeby wyglądało miłoś, spartaczy nie szuka.

— Te drzwi dębowe pod ścianą to też nasza robota — chwali się Wojsicki. — Jedne waży 160 tys. zł. A jeszcze

I DROŻSZE BĘDĄ, SOLIDNIEJSZE.

Ma tu ich być pięć, czy nawet sześć.

Zmieniający przewodnika. Inspektor nadzoru prowadzi nas do tej części zamku, którą konieczne trzeba pokazać. Sala słubów jest już prawie gotowa, wystarczy tylko położyć parkiet. Pokoje obok czekają na malarzy.

— Były problemy zaopatrzeniowe, których się nie przeskoczyło i to opóźniało pracę — tłumaczy inspektor Nader — Miał być grzejniki żelazne, ale po wielu debatach musieliśmy przejść na fajery. Postęp w robotach jest wolny. W ubiegłym roku wykonano elewacje, tynki wewnętrzne, podłogi i uporządkowano plac. Po ilości i jakości wykonanej pracy uważam, że jest niezłe.

Remont zamku w WĘGRO-
RZEWIE rozpoczęto dwanaście lat temu. Zmieniał się inwestorzy, wykonawcy. Powstało kilka dokumentacji. Kraj już nawet anegdota o tym, jak to termin oddania obiektu wyznaczano co roku na 22 lipca. W ciągu tych wszystkich lat przerobiono 46 mln zł, z czego 32 mln w roku ubiegłym.

Ciąg dalszy na str. 5

Kierunek - Berlin

W ZBIORACH BIAŁOSTOCKIEGO MUZEUM WOJSKA ZNAJDUJE SIĘ POCZTÓWKA. TAK, ZWYKŁA, POCZTOWA KARTA ZE SŁOWAMI: „POZDROWIENIA Z BERLINA. ŻENEK.” I NIE BYŁOBY W TYM NIC DZIWNIEGO, GDYBY NIE FAKT, ŻE WYSŁANO JĄ Z BERLINA W MAJU 1945 ROKU. JEJ NADAWCĄ BYŁ ZENON FILIPCZUK, ŻOŁNIERZ 3 PUŁKU 1 DYWIZJI PIECHOTY IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI, A ADRESATKĄ JEGO NARZECZONA, A DO DZIŚ MAŁŻONKA.

Jaka droga przywiodła go aż do Berlina? W 1943 roku ZENON FILIPCZUK musiał opuścić rodziną Białostocką w obawie przed wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec. Znalazł się na Ukrainie. Tu zastało go wyzwolenie przez Armię Radziecką. Wojna zbliżała się do końca, ale było też widoczne, że Niemcy łatwo nie złoży broni.

Z. Filipczuk dowiedział się, że w pobliżu znajdują się jednostki odrodzonego Wojska Polskiego. „Nie chciałem — wspomina po latach — pozostawać z opuszczonymi rękoma, gdy cały naród walczył o wolność ojczyzny. Dlatego na ochotnika zgłosiłem się do wojska polskiego, które u boku armii radzieckiej gromiło hitlerowskiego najazdca. 27 lutego 1944 roku zostałem przydzielony do 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Znalazłem się w 3 Pułku Piechoty w sztabie, jako „sarsz”.

PRZECHODZI SZLAK BOJOWY

typowy dla wszystkich żołnierzy. Warszawa, Bydgoszcz, Wał Pomorski, Sierki, Berlin. „Pod koniec kwietnia — wspomina — przewieziono nas samochodem do Berlina, gdzie zajęliśmy wyznaczone stanowiska. Atakowaliśmy od strony północno-zachodniej wzdłuż ulicy Charlottenburg. Walki charakteryzowały się niezwykłą uciążliwością, brak było zdecydowanej linii frontu. Niemcy nie mieliśmy całkowitej pewności, w którą stronę strzelają nasi żołnierze, a z której niemieccy. Budynki o-

strzelano przeważnie moździerzami, czasami jeden budynek zdobywano kilkakrotnie, aby ponownie go stracić”.

DUMA I ULGA

O tej uciążliwości walk o Berlin, skomplikowanych i dramatycznych sytuacjach, w jakich często napotykał radziecki i polscy żołnierze, szturmujący stolicę III Rzeszy, świadczy również wspomnienie innego białostoczanina — WŁADYSŁAWA BIAŁOKIEGO. Może najpierw

przypomnijmy w skrócie jego wojenną drogę w szeregach odrodzonego Wojska Polskiego. Losy wojny rzuciły go na tereny Kraju Rad. Pracował w sowchozie Powalicha na Syberii, kiedy od władz radzieckich dowiedział się o formowaniu 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Wraz z innymi Polakami niezwłocznie udają się do Sied nad Oką. Walczy pod Górą Kalwarią, Warszawą, na Wałę Pomorskim i w Berlinie.

W STOLICY NIEMIEC znalazł się 29 kwietnia. Pełnił wtedy funkcję szefa kompanii i odpowiadał za dowódz powiatu i amunicji. Pewnego razu wiozł furmanką żywność dla swojej kompanii. Ale oddajmy mu w tym miejscu samemu głos: „Niespodziewanie spotkałem kilku czy kilkunastoletniego chłopca, który podszedł do mnie wychodząc

ciwych zamiarów owoch Niemców, szczególnie, że nie dysponowałem odpowiednią siłą do przyjmowania i transportowania większej ilości jeńców.”

Sytuacja stawiała się kłopotliwa i dramatyczna. Jeśli odmówi prośbie niemieckich żołnierzy, trudno przewidzieć, jak się wtedy zachowają. Po chwili wahania W. Białoki podejmuje decyzję: „Mimo wszystko postanowiłem zaryzykować i wziąć ich do niewoli. Powiedziałem chłopcu, aby pojedynczo wychodził z rękami podniesionymi do góry, rzucając broń w jedno miejsce. I tak też się stało. Odprowadziłem wszystkich i przekazałem naszym władzom wojskowym.”

W WALKACH O BERLIN rolę często się zmieniali. Ci, co prowadzili samochody, mu-



2 maja 1945. Radzieccy żołnierze na terenie Konotopu Rzeszy.

szą linię nacierającą, nasyconych czołgami i piechotą. Aby później okazywały się doprowadzić do całkowitego unicestwienia. Działania bojowe sprowadzały się do ciągłych ataków i kontrataków, okrażania nieprzyjaciela i wydostawania się z okrażenia. Było to bardzo wyczerpujące.

NASTAŁ 2 MAJA 1945 ROKU. Kapitulacja Berlina. Jak dzień ten wyglądał we wspomnieniach żołnierzy polskich — białostoczan. O kartce pocztowej, wysłanej do narzeczonej ze zdobytą Berliną przez Z. Filipczuka — już pisałem. Ta kartka mówiła dużo. Raz, że wysłano ją ze zdobytą Berliną, dwa, że się żyje i powróci do bliskich i najbliższych.

Choćby... „Komunikaty o kapitulacji Berlina — wspomina Z. Filipczuk — podawały przez głośniki. Moja jednostka znajdowała się wówczas w centrum miasta w okolicach Kancelarii Rzeszy. Mimo oficjalnego ogłoszenia o poddaniu Berlina — ciągle padały strzały i ginęli ludzie, aż trudno było uwierzyć, że Berlin został zdobyty.”

Wspomina W. Białoki: „Kapitulację Berlina przyjęliśmy z wielkim zaskoczeniem i ulgą. Zaskoczeniem dlatego, że strzały nie milkły, walki trwały nadal, pociski padały ze wszystkich stron, nie było czasu na wiadomości, gdzie stała wróg, a gdzie nasi. Z ulgą zaś dlatego, że byliśmy wszyscy już porządnie zmęczeni fizycznie i wyczerpani psychicznie, więc mogliśmy liczyć na chwilę wytchnienia. Poza

tym ludzie stali się nieswobodliwi, co powodowało trudności w ewakuacji rozkazów: kapturów nasyconych i podniosła wycieczki żołnierzy na dachy, ich ogromny wysiłek nie przeszedł jednak na marne.”

Podobnie stwierdza J. GOTTA: „Kapitulację Berlina zdawał sobie sprawę, że w ciągu lat wojny przetrwał tak ciężki szlak bojowy, który wiodł niemal przez całą Europę w ciągłych walkach ustawicznym — niebezpiecznym, gdzie śmierć czekała codziennie swoje ofiary. Wszystko to przetrzymać było wielkim szczęściem. Wszyscy cieszyli się z rozgromienia hitlerowskich Niemców — sprząców tylu nieszczęść, milionów ludzi, ogromnych zniszczeń i unicestwienia narodu wielu pokoleń.”

A więc duma z odniesienia zwycięstwa, ulga z zbliżającego się końca wojny i nadzieja na spotkanie z oczyszczonym krajem i rodziną. To tu, w Berlinie, ppor. Mikolajczyk i polecił swoich żołnierzy, aby nie niszczyli niemieckich kolumn zwycięstwa, białoczerwony sztandar. Wśród płaki żołnierzy dokonał tego historycznego aktu, byli także Jablonski i Aleksander Karłowicz.

STANISŁAW ŚWIERA

Nasze rozmowy

RED.: — Wskaźnik nagromadzenia odpadów, w przeliczeniu na statystycznego obywatela PRL wynosi 1,3 m sześciu, na rok. Ale, Japonia, czy jest trzy razy „lepszy”. Tyle, że 99 proc. naszych śmieci wywozi się na prawie tysiąc oficjalnych wysypisk. Znamy twierdzą, że placów tych jest faktycznie dwa razy więcej. Wszak nikt nie kontroluje tu wysypisk śmieci. Odpady komunalne są więc jednym z największych problemów w miejskich aglomeracjach. Czy nie grozi nam zasypanie przez nie?

T. WIERZBICKI: — Grozi, o ile nie weźmiemy się za nie w sposób racjonalny. Jest to też poważny problem w dziedzinie ochrony środowiska. Dotyczy nie tylko naszego kraju, ale całego świata. Potrafimy już skutecznie chronić wody i oczyszczać ścieki; rzecz tylko w nakładach. Utylizacja odpadów czeka dopiero na takie rozwiązania.

Gra idzie nie tylko o sposób niszczenia śmieci, ale i o odyskanie przydatnych przetworów surowców wtórnych. Zanim do tego dojdziemy, trzeba będzie zmienić kulturę wyrzucania odpadów. Wyrzucamy wszystko razem, jak leci, a wozu asenizacyjne dokonują reszty. Wiele surowców grozi się więc bezpowrotnie.

W krajach bardziej od nas rozwiniętych odpady są selekcyjonowane już w domu. Papiry oddzielnie, plastyk i szkło też.

— Będąc we Włoszech i Austrii jakoś tego nie zauważyłem. Odkładano tylko papiery.

— Na Zachodzie też przebywałem i nie przypominam sobie, aby chleb i owoce z tworzyw sztucznych szły do jednego kosza. Wreszcie resztki jedzenia oddzielano, bo jest to pożywką dla szkodliwych rakonów. A proszę się przybliżyć jak wygląda nasze zworki. Nie dość, że cuchną, poprzez żyły wodne, do zbiorników wody pitnej.

Rosną więc wokół naszych miast hały wysypisk i rosną straty gospodarcze. Do walki ze śmieciami wracają dziś technika. I to szerokim frontem. Przykładów nie trzeba

szukać daleko. Wystarczy zajrzeć do sąsiadów. Właśnie wróciłem ze stolicy Białorusi. Oglądałem pod Mińskiem zakład utylizacji. Silne elektromagnesy wylapują metale żelazopochodne, a potem oddzielane są od śmieci elementów mineralne, plastyk i szkło. W Czechosłowacji zwiózłem zakład przerabający na kompost odpady pochodzenia organicznego. Suszy się je potem, miele i sprzedaje — oczywiście po przetworzeniu — za parę koron. Kupują to przede wszystkim działkowicz.

— Czy nas na to naprawdę nie stać?

— Jeśli weźmiemy pod uwagę ilość miast i wysypisk — odpowiedź nasuwa się sama.

— Zastanawiam się dziś kosztami i patrząc na rozrastające się „śmietnisk”. Działamy zatem na niekorzyść tych, którzy przyjdą po nas. — Coś w tej materii staraliśmy się robić. Np. na Śląsku wysypiska są lokalizowane w

muje w takich warunkach ze dwa lata. Kraje, które stały na to, zbiorniki wysypisk betonują. Inni próbują wykladać je masami bitumicznymi, ale nie są to rozwiązania skuteczne.

— Czy nas na to naprawdę nie stać?

— Jeśli weźmiemy pod uwagę ilość miast i wysypisk — odpowiedź nasuwa się sama.

— Zastanawiam się dziś kosztami i patrząc na rozrastające się „śmietnisk”. Działamy zatem na niekorzyść tych, którzy przyjdą po nas. — Coś w tej materii staraliśmy się robić. Np. na Śląsku wysypiska są lokalizowane w

o połowę mniej. Przecież na wsi — nawet dziś — kwestia ta jest mniej naganna. Tam się spala w piecach kuchennych wszystko, co się tylko do spalania nadaje, a popiołem używają m.in. ogrody. Trzeba więc zacząć od segregowania śmieci.

— Ale mieszkańcy miast mają inne argumenty. Jeśli np. w Białymstoku funkcjonuje kilka punktów skupujących smaty, gazety i butelki — to przeważnie nie wiemy gdzie one są i kiedy są otwarte. Ktoś, kto zebrał makulaturę i przyniósł do jednego na osiedlu punktu, „poczuł kłamkę” zamkniętego na gluchochłuch, wyrzucił papiery do najbliższego śmietnika i nikt go już więcej nie namówi do zbierania surowców.

— Wszystko jest w rękach dystrybucji. Z dziecinstwa pamiętam, że zajmowali się tym szmaciarze jeżdżący od domu do domu. Trzeba więc korzystać z wypróbowanych sposobów. To nie takie śmieszne. Jeśli raz w tygodniu — ale stałe, zima czy latem — przyjeżdża panu pod taki obywatelski punkt skupu, to po roku oddawane mu starych gazet i szmat stanie się nawykiem.

— Wróciłbym więc do punktu wyjścia. A przecież świat stał się rozwiązaniem tych problemów.

— Nie tylko zna, ale i stosuje. Wysypiska stają się przetrzaskiem. Coraz częściej korzysta się z przerobu termicznego i selekcyjonowania śmieci. W Paryżu czy Londynie widzieliśmy różne pojemniki — dla poszczególnych odpadów, a całego interesu pilnowali ludzie zarabiający dodatkowy grosz na sprzedaży odpadów surowców. Co kilka dni przejeżdżali uliczkami osiedli śmieciarze, zabierając odpady. Myślę, że i u nas zdaloby to egzamin. Proszę zobaczyć, jak się unormowała sytuacja z butelkami, gdy podobały.

— O technice zbiórki śmieci można by wiele mówić, ale spróbujmy na koniec odpowiedzieć — zasypia nas one czy nie?

— Akurat w tej kwestii jestem pesymistą, bo nie widzę realnych rozwiązań.

Rozmawiał:
ADAM ŁOZOWSKI

Kopna Góra na straży lasów

Od kwietnia ub.r. działa w Kopnej Górze (Puszcza Knyszyńska) Stacja Ochrony Lasów. Jest to jedyna tego typu placówka w kraju, powołana do życia z inicjatywy kolegium dyrektorów Okręgowego Zarządu Lasów w Białymstoku.

Las w naszym regionie uważany są za jedne z najzdrowszych w kraju. Jednakże huragan (w 1979 r.) oraz masowe wystąpienie brudnicy mniszki i jako następstwo tego — szkodników wtórnych mocno osłabiły drzewostany. Najmniejszą uciążliwość puszczy Knyszyńskiej, Białowiejskiej i Piskiej.

Na szczęście sytuacja jest już opanowana. Posusz — źródło legów i żeru szkodników wtórnych — usunięto. Środowisko lasu odzyskuje siły biologiczne. Zaprzęgnięto naukę do pomocy przywrócić w przywracaniu zdolności samoregulacyjnych.

Taki cel przyświeca działaniom pracowników SOL. Placówka służy trzem województwom: Obserwatorzy, doświadczeni leśnicy rozmieszczają się w Puszczech: Knyszyńskiej, Białowiejskiej, Augustowskiej, Piskiej, Romankowej, Boreckiej i w części Kurowskiej. Ich zadaniem jest rozpoznać i prognozować stan sanitarny środowiska lasu.

Praktyka wykazuje, że nauka, a ściślej wiadomości książkowe, nie nadają za znaniami w naturze. Prosto przyroda płata figle. Na przykład zmieniała się stadia rozwoju niektórych szkodników. Zadaniem pracowników SOL jest więc podpatrywanie przyrody na bieżąco, by nie być zaskoczonymi jakimś niespodziankami. Władza na to, że ingerencja człowieka w naturalne środowisko wywołuje daleko idące skutki, których się nie da przewidzieć.

Stacja istnieje krótko, ale już sporo wie o tym co się dzieje w puszcach. Jestela obserwatorzy przeprowadzili kontrolne poszukiwania szkodników sosny i świerka. Robactwo to,

zabrało do oddzielnych pojemników, w których się je hoduje, obserwuje stadia rozwoju, w laboratorium ocenia się też ich podatność na pasożyty itp.

Jesienią ub.r. stwierdzono liczne pojawienie się strzyżyny chojnowka (gąsienice obfite igitwie). W hodowli laboratoryjnej okazało się, że szkodnik ten jest w dużym stopniu odporny na przez pasożyty, spryskiwane lasów. Przyroda w tym wypadku, poradzi sobie sama.

Kierownik Stacji — Wojciech Wygralak, twierdzi, że obecnie najgroźniejszym szkodnikiem świerka w naszym lasach jest kornik drzewny, zaś sosny — cetylicy.

Do walki z kornikami mamy feromony. Są to specjalne pułapki, umieszczone w dołkach ekranach foliowych, z zapachem zwabiającym samców. Pułapki te są dość drogie, kupujemy je za dolar. Przykrzy jest fakt niszczenia ich przez bezmyślnych „turystów”. Udać się na wycieczki do lasu pamiętamy nie tylko o tym by nie śmiecić, ale i prosić o opiekę, by nie niszczyć feromonów.

Cetylicy też nie jest łatwo zwalczać, gdyż nie udało się znaleźć metod chemicznych. Właśnie na wystawie pułapki w stacji ścieżki, drzew, następująco: kora, pod którą się ukrywa, dźwięk grzmotów.

Podstawowa metoda walki z szkodnikami jest higieniczna. Jeśli nie ma posuszu, choćby w rzadkich drzew, owady nie mają warunków do rozwoju.

Strażnicy z SOL twierdzą, że nasze lasy są obecnie zdrowe i do skutecznego bronią się same, chociażby ośmiocząłowa jest potrzebna. Mroźna zima nie zniszczyła wadów. Ich wylot obserwowano już w pierwszych, ciepłych dniach kwietnia. Właśnie z ochłodzeniem szkodniki kryły się, kiedy polowały na żółńców, zastaną lasy przywrócone. Pułapki wystawione już w początkach wiosny.

ZOFIA JADCUK

Grunt to sposób

„GW” rozmawia z kierownikiem Katedry Technologii Wody i Ścieków Politechniki Białostockiej — prof. TADEUSZEM WIERZBICKIM.

— Czyżby więc rozdzielił się „przemysł śmieciarski”?

— Bez wątpienia. Świat potrzebuje surowców i szuka ich gdzie się da. Nawet w śmieciach.

— A my?

— Owszem, produkujemy, ale... hałdy. Zabierają coraz więcej terenów i zagrażają środowisku. Smrodem trują powietrze, a wody opadowe rozpuszczają zawarte w nich substancje i przenoszą, poprzez żyły wodne, do zbiorników wody pitnej.

— Czy owoce wysypisk nie można zneutralizować np. folią?

— Nie zda się to na wiele, a kosztuje dużo. Folia wytrzy-

różnych pokopalnych piaskownikach. Takie tereny próbuje się później rekultywować. Nie ma to większego wpływu na przenikanie zanieczyszczeń do wód podziemnych, ale przynajmniej skutecznie chroni atmosferę. Jest to oczywiście sposób na miarę możliwości.

Dobre jest też — w ograniczonym wymiarze — spalanie odpadów. Pożywyamy się w ten sposób substancji organicznych, plastyku itp. Ale powstający gaz trafia do atmosfery. Trudno więc mówić, że jest to sposób uniwersalny.

— No i oszczędza się hektary...

— Przy tej okazji zaryzykuję twierdzenie, że gdybyśmy z większą kulturą wyrzucali śmiecie — to byłoby ich

SZTUKA LUDOWA

Prostota,
autentyzm
i szczerłość

Historia Polski i óreż polskiego zawsze należały do chłubnej tradycji sztuki polskiej, wynikającej z tragicznych, a zarazem bohaterkich dzieł naszego narodu. Tematyka ta znalazła się również w sferze zainteresowania środowiska twórców ludowych, w tym także z terenu północno-wschodniej Polski.

Istotne znaczenie miało również inspirowanie oddziaływanie biostocznego Muzeum Wojska, które otoczyło troskliwym zainteresowaniem tych twórców ludowych, którym problematyka wojenna zaprzęta wyobraźnię. Pracownicy muzeum, przy współudziale Biostocznego Towarzystwa Kultury i Oddziału Słowazyszenia Twórców Ludowych, organizowali na terenie swej placówki spotkania z twórcami ludowymi naszego regionu — tzw. „biostockie” w czasie których spotykać mieli oni możliwość dokładnego zapoznania się ze zbiorami muzeum. W oparciu o nie dokonywano konfrontacji artystycznej wizji z autentycznymi zabytkami i materiałami polskiego óreża. Ścisła współpraca zaowocowała wszystkim co najlepsze — wzrostem liczby twórców ludowych podejmujących w swych pracach tematykę żołnierską oraz poszerzeniem ich wiedzy ogólnej dotyczącej bogactw óreża naszego kraju. Wysoki poziom artystyczny prac powstałych w wyniku tej współpracy oraz zawarte w nich idee patriotyczne zakwalifikowały je na stałe do galerii „Wojsko polskie w sztuce ludowej” — jedynej tego rodzaju ekspozycji muzealnej w kraju.

Bardzo skromne warunki lokalowe muzeum pozwoliły na prezentację tylko 120 prac z bogatego zbioru twórczości ludowej obejmującego: rzeźbę, piaskorzeźbę, tkaninę, ceramikę, malarstwo na szkle i wycinankarstwo.

Wiele spośród prac zainspirowanych zostało bogatymi w treści historyczne wydarzenia wojny światowej. Szczególnie wyciągnęły uwagę poświęcony wyślikowi zbrojnemu żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego. W pracach znalazły się obrazy i rzeźby poświęcone wojnie światowej. Szczególnie wyciągnęły uwagę poświęcony wyślikowi zbrojnemu żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego. W pracach znalazły się obrazy i rzeźby poświęcone wojnie światowej.

Poligonach (dywany J. Buraczka, F. Krupowicz, P. Juchniewicz i J. Hniedziejko), działania wojenna niosące pomoc podczas klęsk żywiołowych (rzeźby S. Rybiak i obraz płaskorzeźby J. Cikota, M. Lej, G. Szewczyka), jego udział w pracach polowych (rzeźby T. Szulca i płaskorzeźby B. Adamia) czy w honorowym dawstwie krwi (prace Z. Purchala).

Prostota ekspozycyjnych prac, ich autentyzm, sugestywność formy i niepodrabiana szczerłość wypowiedzi przy niezwykłej pomysłowości i bogactwie inwencji twórczej, sprawiają, że zwiedzający galerię z łatwością odczyta to, co było przed laty dla narodu decydujące — drogą wolności wytyczoną żołnierską, zbrojną ręką, a także historię odbudowy i rozbudowy kraju. Galeria gromadząca prace podejmujące ważne dla nas wszystkie tematy odbierała jest także, a może przede wszystkim, w sferze emocjonalnej. W prostą formę prac wpisany został bowiem stosunek emocjonalny do żołnierzy polskich — hold i wdzięczność dla walczących o wolność kraju oraz uznanie dla współczesnych. Uczą patriotyzmu i dlatego warto się przed nimi zatrzymać, zauważyć je szczególnie w te majowe dni, kiedy po raz czterdziesty świętujemy Dzień Zwycięstwa państw koalicji antyhitlerowskiej nad faszystem.

Wielką sympatią i zainteresowaniem, jakim darzą twórcy ludowi polskiego żołnierza pozwala ocenić, iż nadal będzie on obecny w ich twórczości, a my staniemy się odbiorcami nowych dzieł nie tylko o dużej urodzie plastycznej ale także zaangażowanych w sprawy patriotyzmu, braterstwa broni i obronności kraju.

IRENA KOSZYŃKA

Laureaci nagród twórczych wojewody

TADEUSZ CHACHAJ
Z batutą przez życie

Z recenzji:
„W wykonaniu „Koscielca” Kilara przyniosło pełny sukces dyrygentowi i orkiestrze. (...) Chachaj nadął całoci tempo bardziej powściągliwie niż Rowicki i Maksymuk, nie tracąc wskazywać dramatycznej wyrazistości” (M. Komorowska, Ruch Muzyczny).
„Swoje (...) zdolności dyrygenckie wykazał Tadeusz Chachaj w symfonii Czajkowskiego: czysty, klasyczny, dyrygencki gest, jasna koncepcja, uwzględnienie możliwości eksperymentu, estetyczna orientacja, wszystko to wpłynęło na ocenę bardzo pozytywną” (Wieczór niedzieli, 1977).

„Z wypowiedzi kapelmistrza: „Gatunek ruchu dyrygenta wypływa ze zrozumienia muzyki, jej klimatu. Jeśli mam dyrygować ważną pozycję słucham różnych nagrań i staram się wyrobić własne spożerzenie na dany utwór”.

Każdy koncert to są nowe nauki. Dyrygent „na piecach” czuje reakcje widowni. Na sposób prowadzenia utworu wpływa atmosfera panująca na sali, możliwości orkiestry, które każdego dnia są inne. Nawet takich „szlagierów” jak symfonia Czajkowskiego czy Brahmsa, nie umiem dyrygować na każdym koncercie tak samo.

Wesj Góry na Ziemi Zamorskiej, gdzie się urodził w 1929 roku, 12 domów pod rząd zajmował ród Chachajów, pozostałe osiem zagrod — familie Mrozków i Zureków.

Ojciec Chachaj grał na wszystkich instrumentach, które wziął do ręki. Przed wojną muzykował w orkiestrze wojskowej. Udział lekcji gry kilku chłopcom skrzyknietym ze wsi. Z najsilniejszych skompletował niewielki zespół. Próby odbywały się w ich domu. Sześciolatek wówczas Tadeusz wspomagał ćwiczących własną — zmontowaną z porzeczki i brzojczyka — „sekcję rytmiczną”.

Ojciec dostrzegł wrażliwość syna na muzykę zaczął uczyć go gry na skrzypcach. W czasie okupacji Tadeusz Chachaj pobierał naukę na tajnych kompletach w niedalekim Wiśniewie. Do dzisiaj pamięta dzień, w którym ojciec podarował mu 48-basowy akordeon. Uciekając z lek- cji, by móc wypróbować nowy instrument, Zagrał popularny wówczas walc „Leśne nastroje”.

Wojnie uczęszczał do gimnazjum w Krasnym Stawie. W tym też okresie zdał maturę. Wziął udział w konkursie akordeonistów. Miał 16 lat. Był rok 1946. W prasie ukazała się następująca treść informacji:

„Utalentowany chłopak Tadeusz Chachaj, syn strażaka starami Powiatowego Refe-

ratu Kultury i Sztuki w Krasnym Stawie został skierowany na studia muzyczne do Lublina”.

Trafił tam dopiero w rok później. W gimnazjum im. A. i J. Vetterów grał w szkolnej orkiestrze detej i symfonicznej. Jeszcze przed maturą, w roku 1950 został zaangażowany do Filharmonii Lubelskiej jako muzyk — waltornista. Po zdaniu egzaminu dojrzałości i uzyskaniu dyplomu średniej szkoły muzycznej znalazł się na Akademii Muzycznej w Warszawie. Wybrał dwa wydziały — waltorni i dyrygentury, dostał się na oba. Po pierwszym roku studiów pozostał przy dyrygenturze.

Uczęszczał na lekcje m. in. do Bohdana Wodiczki, Witolda Rowickiego i prof. Waleriana Biedrzyńskiego. Dyplom zrobił pod kierunkiem Tadeusza Witczaka.

Na egzaminie, który odbył się w Filharmonii Narodowej, dyrygował w Symfonie Beethovena i Poemat symfoniczny „Dziś Sowiłdrza” Straussa.

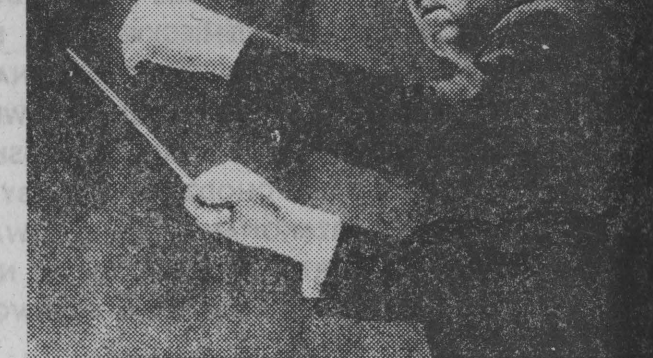
Po studiach trafił do Rzeszowskiej Orkiestry Symfonicznej, gdzie pracował jako drugi dyrygent do 1971 roku. Wtedy właśnie rozpoczął się kolejny rozdział w życiu laureata, który trwa do dzisiaj. Powierzono mu dyrykcję i funkcję kierownika artystycz-

negu ówczesnej Orkiestry Symfonicznej w Białymstoku. W kilka lat później przemianowanej na Filharmonię.

Tadeusz Chachaj stał się przy pulpicie dyrygenckim ponad 1500 razy. Chętnie współpracuje z orkiestrami innych filharmonii w kraju i za granicą. Prowadził koncerty m. in. w Austrii, NRD, Belgii, ZSRR, Jugosławii, Hiszpanii, we Włoszech, na Węgrzech i Kubie. Wysoko ceni sobie kontakty z rumuńskimi symfoniczami z Jassy. Koncert z udziałem pianisty Rudolfa Kerera, zarejestrowany przez tamtejsze radio i telewizję uważa za jedno z najważniejszych wydarzeń swego życia. Dyrygował VI Symfonie „Patetyczna” Czajkowskiego oraz „Dziś Sowiłdrza” Ryszarda Straussa.

W chwilach wolnych od obowiązków zajął się Chachaj zajmuje się aranżacją. Dostarcza repertorium młodzieżowym orkiestrom Instrumentalne utwory o takim charakterze — od tan- ców narodowych do muzyki popularnej.

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI



Pod drugą dyrektorską batutą Tadeusza Chachaja Filharmonia Koncertowa w Białymstoku prowadzi od lat kilka albumów upowszechniania wśród dzieci i młodzieży. Złoty jest następujący: 130 w 1971 roku do tysiąca w roku bieżącym. Ośmiu lat przerwy w wydawaniu także Ogólnopolski Festiwal Muzyki i Poezji.

W chwilach wolnych od obowiązków zajął się Chachaj zajmuje się aranżacją. Dostarcza repertorium młodzieżowym orkiestrom Instrumentalne utwory o takim charakterze — od tan- ców narodowych do muzyki popularnej.

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

ANDRZEJ KAROLAK
Kwadrans — raz w życiu

Wybrał najdłuższą drogę na scenę. Jeszcze jako student prawa „zaszczerpił się” w teatrze. Sam sobie wyznaczył pierwszą rolę chłopca do wszystkich. Płat się po śnie, „dłaga kurtynę”, zmieniał dekoracje. Ktoś go dnia został zauważony i zaangażowany przez Barbarę Fijewską do „Kramu z piosenkami”. Prawdziwy debiut, odnotowany przez krytyków, miał miejsce w 1962 roku. Zagrał Drugiego w „Strip-tease” Sławomira Mrożka w reżyserii Krystyny Meissner.

Dzisiaj Andrzej Karolak ma już poza sobą 27 lat pracy na deskach białostockiego Teatru Dramatycznego im. A. Węgierki. Różnorodność kreowanych postaci uchroniła go przed zaszufladkowaniem. Grywał bardzo różne role — od dzieł klasycznych (jak chociażby: „Odpawa postów greckich” Kochanowskiego, „Samuel Zborowski” Słowackiego, „Wesele” Wyspiańskiego) po utwory współczesne (m. in. „Iwona, księżniczka Burgunda” Gombrowicza).

Nie śni mu się po nocach ani Hamlet, ani Król Lear, ani nawet... Antygona (wiele aktorów zamiast Ofelii chciałoby zagrać księżną duńską).

Dwukrotnie dał się zwabić do filmu (mówi, że trafił tam przez przypadek). Janusz Peltelki powierzył mu główną

rolę w swoim debiutanckim obrazie „Śny i marzenia”. Film zdobył II nagrodę na Tegorocznym XXIV Festiwalu Filmów Neorealistycznych i Awangardowych w Aveellino (Włochy). Wcześniej partnerował Joannie Wismur (białostocki widzowie pamiętają zapewne tę młodą aktorkę z pewnej roli, jaką zagrała na naszej scenie, m. in. w „Pskropleniach” Szekspira i „Iwona” Gombrowicza).

W prywatnej rozmowie Andrzej Karolak przypomina Karolaka ze sceny, z jego skłonnością do wyposażania granych postaci w cechy groteskowe (wystarczy przypomnieć sobie Szambelana z „Iwony”, lejtmanta Żewakina z „Ożenku” Gogola, czy Grabarza z „Hamleta” Szekspira). O teatrze mówi z atencją, o sobie — z przyżmuceniem oka.

Zapytany o role, które się dla niego liczą, odpowiada przekornie, że jest ich 30... a może 10. Nie ma czasu na buchalterię. Żyje w pospiechu. Ciągłe jest czynne zaskakiwany. Ma jedno, doład nie zrealizowane marzenie — chciałby po prostu usiąść i nie nie robić.

Dwukrotnie dał się zwabić do filmu (mówi, że trafił tam przez przypadek). Janusz Peltelki powierzył mu główną

rolę w swoim debiutanckim obrazie „Śny i marzenia”. Film zdobył II nagrodę na Tegorocznym XXIV Festiwalu Filmów Neorealistycznych i Awangardowych w Aveellino (Włochy). Wcześniej partnerował Joannie Wismur (białostocki widzowie pamiętają zapewne tę młodą aktorkę z pewnej roli, jaką zagrała na naszej scenie, m. in. w „Pskropleniach” Szekspira i „Iwona” Gombrowicza).

W prywatnej rozmowie Andrzej Karolak przypomina Karolaka ze sceny, z jego skłonnością do wyposażania granych postaci w cechy groteskowe (wystarczy przypomnieć sobie Szambelana z „Iwony”, lejtmanta Żewakina z „Ożenku” Gogola, czy Grabarza z „Hamleta” Szekspira). O teatrze mówi z atencją, o sobie — z przyżmuceniem oka.

Zapytany o role, które się dla niego liczą, odpowiada przekornie, że jest ich 30... a może 10. Nie ma czasu na buchalterię. Żyje w pospiechu. Ciągłe jest czynne zaskakiwany. Ma jedno, doład nie zrealizowane marzenie — chciałby po prostu usiąść i nie nie robić.

Dwukrotnie dał się zwabić do filmu (mówi, że trafił tam przez przypadek). Janusz Peltelki powierzył mu główną

rolę w swoim debiutanckim obrazie „Śny i marzenia”. Film zdobył II nagrodę na Tegorocznym XXIV Festiwalu Filmów Neorealistycznych i Awangardowych w Aveellino (Włochy). Wcześniej partnerował Joannie Wismur (białostocki widzowie pamiętają zapewne tę młodą aktorkę z pewnej roli, jaką zagrała na naszej scenie, m. in. w „Pskropleniach” Szekspira i „Iwona” Gombrowicza).

W prywatnej rozmowie Andrzej Karolak przypomina Karolaka ze sceny, z jego skłonnością do wyposażania granych postaci w cechy groteskowe (wystarczy przypomnieć sobie Szambelana z „Iwony”, lejtmanta Żewakina z „Ożenku” Gogola, czy Grabarza z „Hamleta” Szekspira). O teatrze mówi z atencją, o sobie — z przyżmuceniem oka.

Zapytany o role, które się dla niego liczą, odpowiada przekornie, że jest ich 30... a może 10. Nie ma czasu na buchalterię. Żyje w pospiechu. Ciągłe jest czynne zaskakiwany. Ma jedno, doład nie zrealizowane marzenie — chciałby po prostu usiąść i nie nie robić.

Dwukrotnie dał się zwabić do filmu (mówi, że trafił tam przez przypadek). Janusz Peltelki powierzył mu główną

rolę w swoim debiutanckim obrazie „Śny i marzenia”. Film zdobył II nagrodę na Tegorocznym XXIV Festiwalu Filmów Neorealistycznych i Awangardowych w Aveellino (Włochy). Wcześniej partnerował Joannie Wismur (białostocki widzowie pamiętają zapewne tę młodą aktorkę z pewnej roli, jaką zagrała na naszej scenie, m. in. w „Pskropleniach” Szekspira i „Iwona” Gombrowicza).

W prywatnej rozmowie Andrzej Karolak przypomina Karolaka ze sceny, z jego skłonnością do wyposażania granych postaci w cechy groteskowe (wystarczy przypomnieć sobie Szambelana z „Iwony”, lejtmanta Żewakina z „Ożenku” Gogola, czy Grabarza z „Hamleta” Szekspira). O teatrze mówi z atencją, o sobie — z przyżmuceniem oka.

Zapytany o role, które się dla niego liczą, odpowiada przekornie, że jest ich 30... a może 10. Nie ma czasu na buchalterię. Żyje w pospiechu. Ciągłe jest czynne zaskakiwany. Ma jedno, doład nie zrealizowane marzenie — chciałby po prostu usiąść i nie nie robić.

Dwukrotnie dał się zwabić do filmu (mówi, że trafił tam przez przypadek). Janusz Peltelki powierzył mu główną

rolę w swoim debiutanckim obrazie „Śny i marzenia”. Film zdobył II nagrodę na Tegorocznym XXIV Festiwalu Filmów Neorealistycznych i Awangardowych w Aveellino (Włochy). Wcześniej partnerował Joannie Wismur (białostocki widzowie pamiętają zapewne tę młodą aktorkę z pewnej roli, jaką zagrała na naszej scenie, m. in. w „Pskropleniach” Szekspira i „Iwona” Gombrowicza).

W prywatnej rozmowie Andrzej Karolak przypomina Karolaka ze sceny, z jego skłonnością do wyposażania granych postaci w cechy groteskowe (wystarczy przypomnieć sobie Szambelana z „Iwony”, lejtmanta Żewakina z „Ożenku” Gogola, czy Grabarza z „Hamleta” Szekspira). O teatrze mówi z atencją, o sobie — z przyżmuceniem oka.

Zapytany o role, które się dla niego liczą, odpowiada przekornie, że jest ich 30... a może 10. Nie ma czasu na buchalterię. Żyje w pospiechu. Ciągłe jest czynne zaskakiwany. Ma jedno, doład nie zrealizowane marzenie — chciałby po prostu usiąść i nie nie robić.

Dwukrotnie dał się zwabić do filmu (mówi, że trafił tam przez przypadek). Janusz Peltelki powierzył mu główną

rolę w swoim debiutanckim obrazie „Śny i marzenia”. Film zdobył II nagrodę na Tegorocznym XXIV Festiwalu Filmów Neorealistycznych i Awangardowych w Aveellino (Włochy). Wcześniej partnerował Joannie Wismur (białostocki widzowie pamiętają zapewne tę młodą aktorkę z pewnej roli, jaką zagrała na naszej scenie, m. in. w „Pskropleniach” Szekspira i „Iwona” Gombrowicza).

W prywatnej rozmowie Andrzej Karolak przypomina Karolaka ze sceny, z jego skłonnością do wyposażania granych postaci w cechy groteskowe (wystarczy przypomnieć sobie Szambelana z „Iwony”, lejtmanta Żewakina z „Ożenku” Gogola, czy Grabarza z „Hamleta” Szekspira). O teatrze mówi z atencją, o sobie — z przyżmuceniem oka.

Zapytany o role, które się dla niego liczą, odpowiada przekornie, że jest ich 30... a może 10. Nie ma czasu na buchalterię. Żyje w pospiechu. Ciągłe jest czynne zaskakiwany. Ma jedno, doład nie zrealizowane marzenie — chciałby po prostu usiąść i nie nie robić.

Dwukrotnie dał się zwabić do filmu (mówi, że trafił tam przez przypadek). Janusz Peltelki powierzył mu główną

rolę w swoim debiutanckim obrazie „Śny i marzenia”. Film zdobył II nagrodę na Tegorocznym XXIV Festiwalu Filmów Neorealistycznych i Awangardowych w Aveellino (Włochy). Wcześniej partnerował Joannie Wismur (białostocki widzowie pamiętają zapewne tę młodą aktorkę z pewnej roli, jaką zagrała na naszej scenie, m. in. w „Pskropleniach” Szekspira i „Iwona” Gombrowicza).

W prywatnej rozmowie Andrzej Karolak przypomina Karolaka ze sceny, z jego skłonnością do wyposażania granych postaci w cechy groteskowe (wystarczy przypomnieć sobie Szambelana z „Iwony”, lejtmanta Żewakina z „Ożenku” Gogola, czy Grabarza z „Hamleta” Szekspira). O teatrze mówi z atencją, o sobie — z przyżmuceniem oka.

Zapytany o role, które się dla niego liczą, odpowiada przekornie, że jest ich 30... a może 10. Nie ma czasu na buchalterię. Żyje w pospiechu. Ciągłe jest czynne zaskakiwany. Ma jedno, doład nie zrealizowane marzenie — chciałby po prostu usiąść i nie nie robić.

Dwukrotnie dał się zwabić do filmu (mówi, że trafił tam przez przypadek). Janusz Peltelki powierzył mu główną

rolę w swoim debiutanckim obrazie „Śny i marzenia”. Film zdobył II nagrodę na Tegorocznym XXIV Festiwalu Filmów Neorealistycznych i Awangardowych w Aveellino (Włochy). Wcześniej partnerował Joannie Wismur (białostocki widzowie pamiętają zapewne tę młodą aktorkę z pewnej roli, jaką zagrała na naszej scenie, m. in. w „Pskropleniach” Szekspira i „Iwona” Gombrowicza).

W prywatnej rozmowie Andrzej Karolak przypomina Karolaka ze sceny, z jego skłonnością do wyposażania granych postaci w cechy groteskowe (wystarczy przypomnieć sobie Szambelana z „Iwony”, lejtmanta Żewakina z „Ożenku” Gogola, czy Grabarza z „Hamleta” Szekspira). O teatrze mówi z atencją, o sobie — z przyżmuceniem oka.



Moja dewiza w teatrze „moderato cantabile”, co znaczy: umiarkowanie śpiewać. I zawsze staram się tego trzymać.

Najnowsze wcielenie Andrzeja Karolaka to Arlekin „Płacek miłości” Piotra Marivaux. Wspólnie z Różą Czaplewską aktor próbuje doświadczyć sztuki pióra Aleksandra Gelmana „Tacy sami” (tytuł roboczy), w reżyserii Miriam Aleksandrowicz-Krasko, która — już wkrótce — będziemy mogli obejrzeć scenie kameralnej.

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

Oprac. Fot. KRZYSZTOF SWIDZIŃSKI

WIESŁAW KAZANECKI
Byłem świadkiem umierania talentów

— W dzisiejszym stechnicyzowanym świecie jest wielu ludzi potrafiących z łatwością składać słowa w słupki ale i maszyn piszących bezduszne akrobolowe poprawne teksty. Kogo możemy uważać za poetę?

— Kiedy patrzę na swoje 30 lat pisarskich prób sumuję, że staram się zsyntetyzować, dochodzę do wniosku, że poeta to po prostu jest lub nie, poeta to nie tylko ktoś, kto pisze lub napisał wiersz. To również sposób bycia, cała etyka, osobowość, sumienie i wiedza a także praca wynikająca z pasji.

— Czy wobec tego świat zmienia się zgodnie z Pana marzeniami i dążeniami wyrażanymi za pośrednictwem wierszy?

— U Thant ustępując ze stanowiska sekretarza generalnego ONZ powiedział, że jeśli świat nie zmieni kierunku, w którym idzie, grozi mu rozkład cywilizacji. Utkwiło mi to ostrzeżenie w pamięci. Próbowaniem rozwijać je w poemacie „Stwórca i kat”.

— Podjąłem próbę syntezy lat siedemdziesiątych życia na naszej planecie.

— Był Pan w Stanach Zjednoczonych przez kilka miesięcy. Czy pobyt ten zaowocuje twórczo?

— Tak! Pisarz, który nie podróżuje jest w stanie stworzyć tylko bardzo cząstkowy

i najczęściej nieprawdziwy obraz świata.

— Proszę spróbować te myśli rozwinąć?

— Mam na myśli pisarzy, których interesuje świat a nie tylko jakaś jego część. Mnie interesuje rzeczywistość jako całość. Bez doświadczenia wszystkich jej biegunów pisarz skazany jest na złudzenia i mity. O Stanach Zjednoczonych w Polsce funkcjonują mity dwójakiego rodzaju: negatywne, tworzone przez propagandę i pozytywne, utrwalane przez wielu ludzi. Jedne i drugie są nieprawdziwe.

— Wydał Pan do tej pory pięć książek.

— Sześć. Są to: „Kamień na kamieniu” (1964 r.), „Portret z nagonką” (1969), „Pejzaż sumienia” (1974), „Czy czas w orszaku” (1978), „Stwórca i kat” (1982), „Śmierć uśmiechu Głocandy” (1983). W tym roku albo w przyszłym ukaze się w „Pojezierzu” nowy tom pt. „Na powódź i na wiatr”.

— Jest Pan kierownikiem literackim w białostockim Oddziale Krajowej Agencji Wydawniczej?

— Tak, od trzech lat, ale to nie angażuje mnie tak, jak w okresie dziesięciu lat pracą w szkole, czy następnych dziesięciu — w dziennikarstwie. Chciałbym pracować teraz więcej niż kiedykolwiek

przedem, czuję się szczęśliwy z tego powodu. Teraz mogę niemal całego siebie poświęcić poetyckiej pasji.

— W bardzo dawnych „Kontrastach” prowadził Pan rubrykę dla młodych poetów pt. „Post scriptum pod redakcją W. Kazaneckiego”. Co pozostało z tych lat?

— Nigdy nie odmawiam pomocy, gdy proszą mnie o nią młodzi poeci czy organizacje, które mecenasują im.

— Czy mamy dzisiaj młodych poetów?

— W Białymstoku występuje bardzo niekorzystnie zjawisko jeśli chodzi o sztukę. Młodzi poeci zapominają o czymś tak oczywistym, jak system wartości intelektualnych, estetycznych, etycznych itd., które decydują o sile sztuki. Oni utożsamiają sztukę wyłącznie z twórczością. Jest tak, jakby sprowadzili poezję tylko do aktu pisania, pomijając cały ogrom wysiłku wobraźni i refleksji, poprzedzających wiersz. Częstość więc byłem świadkiem zamierania talentów, dużej nieraz miary, niż ich rozwoju.

